Cena 5 zł

DROGA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM RELIGIJNYM

ROK 1 KRAKÓW, WRZESIEŃ 1946 NR 3

MOTTO: GOTUJCIE DROGĘ PAŃSKĄ, PROSTE CZYŃCIE ŚCIEŻKI JEGO.
ŚW. MATEUSZ III, 3

XXVI Konferencja Doroczna Kościoła Metodystycznego



Fot. Z. Szymańska

Członkowie naszego Kościoła, którzy uczestniczyli w XXVI Konferencji Dorocznej, obradującej pomiędzy 5 a 7 lipca b. r. w Katowicach, zachowali w pamięci te dni, które były przeglądem naszych sił w Polsce i źródłem nowego zapału w pracy dla Chrystusa. — Na zdjęciu wejście do kaplicy Zboru w Katowicach, przybrane flagami polską i amerykańską oraz zielenią, na przywitanie uczestników i gości Konferencji z Biskupem P. Garberem na czele. Po lewej stronie Br. Pastor Raszkiewicz z Piotrkowa w towarzystwie Br. Olejniczaka.

Szkoła przedziwna

Kto pragnie poznać moc i wspaniałość Boga, przejawiającą się w ogromie stworzenia — niech pozna Tatry.

Kto chce poznać dobroć i łagodność Boga, przejawiającą się w pięknie stworzenia, niech przemierzy stopami swymi drogi Orawy i Spisza. Słusznie mówi lud o tych ziemiach, że powstały z uśmiechu Boga. Człowiek czerpie z tutejszych krajobrazów spokój i pogodę a twarz przyozdabia uśmiechem szczęścia.

Z ziemią spiską graniczy od północy ziemia nowosądecka. Stolica tej ziemi — Nowy Sącz wspiera się o wierzchołek wideł Dunajca i Popradu. Wędrując doliną Popradu w górę rzeki wkraczamy w królestwo Bożego uśmiechu. Bo o ziemi sądeckiej, graniczącej ze Spiszem, można powiedzieć to samo, co mówi lud o ziemi orawskiej: że powstała z uśmiechu Stwórcy.

Ludwik van Beethoven powiedział o muzyce, że jest ona najwznioślejszym objawieniem Boga. Patrząc na góry nasze ojczyste, Tatry i Beskidy, zapuszczając wzrok od Popradu na zachód, przez Pieniny i Tatry hen ku Orawie, możemy powtórzyć za Beethovenem, nadając szersze granice jego słowom: że piękno, przejawiające się w naturze, jest najwyższym objawieniem Bożym.

Oto jest przed nami księga niepisanego objawienia: góry. Wydaje się nam, że jesteśmy w szkole, w najpiękniejszej szkole, dobroci i potęgi Bożej, w której murami są wzgórza i lasy, oknami przełęcze, a dach nad głową stanowi sklepienie niebieskie. Otwarły się podwoje tej cudownej szkoły dla zastępów dzieci z całej Polski, z Warszawy, Śląska, Krakowa, Pomorza: w Piwnicznej nad Popradem, w willi czcigodnego pastora Dropiowskiego, zamieszkała młodzież i dzieci na kilkutygodniowy pobyt wypoczynkowy, zorganizowany w ramach kolonii letniej przez nasz Kościół Metodystyczny.

Pobyt w kolonii połączony jest z programem chrześcijańskiego wychowania. Obok sił fizycznych uczestnicy kolonii muszą też zdobyć siły duchowe. Realizuje się to w cyklu godzin wychowawczych. Co się w tych ramach nie zmieści tego dostarczy ta przedziwna górska szkoła, to potężne świadectwo wielkości i mocy Bożej. Co zostanie przemilczane przez wychowawców podczas godzin wychowawczych, to dopowiedzą góry, poszum drzew i nurt rzeki. Warunki życia miejskiego nie dają człowiekowi częstych okazji do skupienia się w sobie. Życie miejskie jest zbyt rozproszone. Przeżycia religijne mieszkańców miast w wielu wypadkach ograniczają się do przyjmonia doznań płynących z niedzielnych zgromadzeń i nabożeństw. Chrześcijanie z ducha, opierający swe życie i postępowanie na ewangelicznej nauce Chrystusa, są raczej wolni od niebezpieczeństw takiej „niedzielnej" religii, w której tkwi większość naszego narodu. Ale trzeba przyznać, że wobec stanowczych, ewangelicz-

nych chrześcijan stoi również niebezpieczeństwo zmechanizowania religijnych przeżyć. Jedynie żywy nurt duchowego życia jest w stanie zapobiec skostnieniu, grożącemu każdej religii i każdej religijnej społeczności. Dlatego my chrześcijanie, skupieni w szeregach polskich metodystów, z radością powitamy dzień powrotu naszej młodzieży i dzieci z odpoczynku w Piwnicznej z tą wiarą, że ich powrót będzie dopływem nowego zapału dla naszego życia i działania, że będzie on świeżym oddechem gór, odzewem podanym nam przez przedziwną, górską szkołę potęgi i łaski Bożej. W. B.

WITOLD BENEDYKTOWICZ

Exodus

(Karta z dziejów Izraela)

„Exodus" — to nazwa drugiej księgi Mojżeszowej, która wraz z pozostałymi czterema tworzy tak zwany Pięcioksiąg Mojżesza. Słowo „exodus" zaczerpnięte z języka greckiego. Oznacza ono w y j ś c i e. Tłumacze, przełożyli Stary Testament na język grecki nazwali tak drugą księgę Mojżeszową, ponieważ jej treść zawiera opis wymarszu narodu izraelskiego z Egiptu. Autor biblijnego opisu ucieczki Izraela z niewoli egipskiej informuje nas, że wyjście z Egiptu było połączone z przejściem Morza Czerwonego. Uczony żydowski pochodzenia polskiego H. Graetz, profesor uniwersytetu wrocławskiego w ubiegłym stuleciu, zapewnia, że przejście Izraela przez Morze jest tak pewne historycznie,jak pobyt tego narodu w Egipcie. Na przestrzeni stuleci znajdywali się ludzie, którzy podawali w wątpienie ten fakt, na przykład wybitny fizolof — żyd B. Spinoza. Cudowne przejście przez Morze Czerwone próbowano wyjaśnić m. in. zjawiskiem odpływu. Wydaje się to bardzo nieprawdopodobne, chociaż właśnie w czasie trwania odpływu, przeprawił się na drugą stronę Morza Czerwonego Napoleon Bonaparte, w czasie walk w Egipcie, jak zapewnia raport generała franc. Doguerau. Dla przemarszu Izraelitów takie wytłumaczenie jest jednak niedostateczne, ponieważ należy wziąć pod uwagę rozsądek ścigających Egipcjan z Faraonem na czele, którzy łatwo mogli obliczyć porę zakończenia odpływu i nie narażać się na zgubę w nurtach fal. Uczony Robinson, autor dzieła p. t. „Palestyna" kieruje naszą uwagę na wskazówkę, jaką nam tu daje Pismo św.: W 2 Mojż. XIV, 21 czytamy, że wiatr wschodni, wiejący przez całą noc spowodował ustąpienie wód i osuszenie pewnej połaci dna morskiego. Wybitny znawca Starego Testamentu Rud. Kittel twierdzi, że był to wiatr z kierunku północno-wschodniego, a wspomniany uczony H. Graetz uważa, że była to po prostu burza od północnego wschodu. Słusznie jednak dopatrywano

się słabych stron w tym wytłumaczeniu. Wiatr i odpływ mogły usunąć wodę z koryta morskiego, lecz nie były w stanie osuszyć bagnistego dna, które musiało by spowodować utknięcie pochodu izraelskiego na miejscu. W związku z tym nasuwa się przypuszczenie, że przejście na drugi brzeg dokonało się nie w korycie Morza Czerwonego, lecz nieco dalej, w rejonie jezior, rozciągających się na północ od Suezu.

W starożytności, Morze Czerwone przedstawiało się prawdopodobnie nieco inaczej aniżeli dziś. Dokładniejsza znajomość terenu, przez który Izrael bezpiecznie uszedł z niewoli egipskiej, datuje się dopiero od niespełna 100 lat, t. zn. od czasu zbudowania kanału sueskiego, łączącego Morze Śródziemne z Czerwonym. W tej okolicy szczególne zainteresowanie uczonych skupiają na sobie jeziora Gorzkie i Jezioro Krokodyle (Bar el Timsah), które posiadały grunt nie mulisty, błotny, lecz piaszczysty. Tędy przypuszczalnie przeprawili się Izraelici na drugą stronę. Przejście w tym miejscu nie było trudne. Ponad to dopomógł przy tym silny wiatr, w czym pobożny autor biblijnego opisu upatruje cud, dokonany przez Pana. Pewne światło na to zagadnienie znajdujemy w 4 Mojż. XXXIII, 10—11. Czytamy tam: „a ruszywszy się z Elim, położyli się nad morzem czerwonym" itd. W języku hebrajskim, w którym ten opis został skreślony, Morze Czerwone nazywa się „iam suph", co uczeni tłumaczą jako „morze trzcinowe", czyli porośnięte trzciną wodną. Otóż trzciny te nie rosną w Morzu Czerwonym, lecz w Nilu, lub też w tych jeziorach, mają dopływ słodkiej, nilowej wody. A zatem określenie „iam suph" — „morze trzcinowe" wskazuje na to, że Izraelici przeprawili się przez pojezierze, rozciągające się pomiędzy dzisiejszymi portami Suez i Port Said. Stosując do tego opis biblijny, możemy sobie łatwo wyobrazić, że silny wiatr lub burza od północnego wschodu odsłoniły w jednym z tych jezior wysoką mierzeję piaszczystą, po której przeszli Izraelici. Po obu stronach mierzei, w głębszych partiach morza trzcinowego, pozostała woda, na co wskazuje notatka w 2 Mojż. XIV, 22: „I szli synowie Izraelscy środkiem morza po suszy, a wody im były jako mur, po prawej i lewej stronie ich".

Skolei nasuwa się pytanie, jak nastąpiła katastrofa wojsk egipskich? W otoczeniu Faraona poczytano za błąd wypuszczenie z kraju taniego a dobrego materiału robotniczego, jaki stanowili Izraelici (2 Mojż. XIII, 18). I oto następuje ciekawe zdarzenie: Mojżesz, na zlecenie Pana, wraca z ludem do Egiptu, i rozbija obóz koło miasta Fihahirot, niedaleko morza. (2 Mojż. XIV, 1—2). Teraz pogoń egipska nabiera widoków powodzenia. Faraon na czele 600 wyborowych wozów bojowych, poczyna ścigać Izraela. Około wspomnianego miasta Fihahirot następuje spotkanie Egipcjan z Izraelitami. To wywołuje panikę w obozie izraelskim. Dają się słyszeć okrzyki niezadowolenia i buntu przeciw Mojżeszowi. Zapada noc. Starcie świet-

nej armii z trwożonymi uchodźcami nie może jednak nastąpić, ponieważ jest ciemno, szczególnie po stronie Egipcjan. (2 Mojż. XIV, 20). W ciągu nocy Izraelici odchodzą od miasta Fihahirot do wspomnianego „iam suph" — morza trzcinowego. Przez całą noc wieje północno-wschodni wiatr i odsłania piaszczystą mierzeję, o której była mowa poprzednio. Tymczasem Egipcjanie tracą w ciemności ślad uciekających i muszą się zatrzymać, ponieważ zabłądzili w mulastym gruncie. Na taki przebieg wypadków wskazuje opis zawarty w 2 Mojż. XIV, 25. Czytamy tam, że wlekli koła wozów z ciężkością. Ta ciężkość, po hebrajsku „kebedut", oznacza zapewne muł, szlam, błoto. W tym mule koła wozów uległy zniszczeniu, (wiersz 25). W zamieszaniu, błąkając się, odchodzą Egipcjanie od brzegów ku wnętrzu morskiego koryta (patrz wiersz 27 „lecz wraził Pan Egipczany w pośród morza", t. zn. w środek koryta). Ustaje wiatr gwałtowny, wracają się wody. Izrael tymczasem znajduje się już na wschodnim brzegu i przy blasku dnia ogląda epilog katastrofy swych niedawnych ciemiężycieli.

Na koniec tych rozważań dorzućmy jeden ciekawy przyczynek, zaczerpnięty z dzieła W. H. Bultona p. t. „Wieczność piramid i tragedia Pompei". Oddajemy głos uczonemu autorowi: „Kto zna z Biblii szczegóły ucieczki Izraelitów z Egiptu, przypomni sobie kilkakrotnie powtarzającą się tam opowieść, że Bóg serce Faraona zamienił w kamień. W sprawie tej niezmiernie interesujący będzie wyjątek z listu prof. G. Elliota Smitha, ogłoszony w „The Times" z 25 października 1929 r.: „Gdy rozwijałem bandaże z mumii, pan Maspero opowiadał obecnym historię, wedle której faraon M e n e p h t h a h miał być faraonem z biblijnego Exodus, który zginął w Morzu Czerwonym. Po obnażeniu mumii, zwróciłem uwagę na niezwykły objaw inkrustacji ciała kryształami soli, na co p. Maspero zwrócił się w tej chwili do obecnych przy tym misjonarzy w te słowa: „Oto widzicie panowie potwierdzenie epizodu z Morzem Czerwonym." — A gdy badając ciało znalazłem ~~wspaniałe~~ kawałki aorty, p. Maspero dodał: „A serce jego było istotnie skamieniałe."

LEW TOŁSTOJ

Trzej Starcy

Przekład Grzegorza Timofejewa.

A gdy się modlicie, nie mówcie słów zbytecznych jako poganie, którzy myślą, że zostaną wysłuchani, skoro odmówią jak najdłuższą modlitwę. Nie upodabniajcie się poganom, albowiem zanim prosić zaczniecie, wasz Ojciec wie, jaką macie potrzebę. (Mat. VI, 7, 8.)

Na pokładzie okrętu, który szedł z Archangielska do Wysp Sołowieckich znajdował się pewien biskup. Tym samym statkiem płynęli do monasteru (klasztoru) na wyspach Sołowieckich pątnicy.

Wiatr sprzyjał podróży: dzień był jasny, pogodny, morze ciche. Pątnicy albo byli na pokładzie, albo posilali się, albo rozmawiali ze sobą, tworząc gromadki. A biskup przechadzał się po pokładzie. Na dziobie statku zobaczył sporą gromadkę ludzi, która skupiła się koło jakiegoś chłopa. Ten wyciąga rękę na morze, wskazuje coś i mówi, ludzie zaś słuchają. Biskup stanął, spojrzał w kierunku, wskazywanym przez chłopa, lecz nic nie ujrzał — tylko fale morza błyszczały w słońcu. Podszedł bliżej i zaczął się przysłuchiwać temu, co mówi chłop. Opowiadający ujrzawszy duchowną osobę, zdjął czapkę i zamilkł. Pozostali również pozdejmowali czapki, okazując swój szacunek dla biskupa.

— Nie krępujcie się — rzekł biskup — przyszedłem, ażeby również posłuchać. Co opowiadasz dobry człowieku?

— A opowiadał nam o starcach — odezwał się jakiś śmielszy kupiec.

— O starcach? — zapytał biskup, siadając na skrzyni, stojącej na przodzie okrętu. -- Opowiedz, ja też posłucham. Co pokazywałeś?

— A tę wysepkę, która tam widnieje — rzekł chłop i wyciągnął przed siebie rękę w kierunku nieco na prawo — na tej wysepce są starcy, pędzący pobożny żywot.

— Wysepka? Gdzież ta wysepka — zapytał biskup.

— A proszę patrzeć w kierunku mej ręki. Ot gdzie tamta chmurka: tam nieco na lewo widnieje pas ziemi. Patrzy biskup patrzy, ale nic nie widzi. Tylko morze marszczy się w słońcu i błyszczy.

— Nie widzę — powiada — więc jacy to starcy tam żyją?

— Boży ludzie — odpowiedział chłop. Dawno już słyszałem o nich. Ale dawniej jakoś nie widziałem starców, dopiero zeszłego lata ujrzałem wszystkich trzech.

I chłop opowiedział, że pewnego razu, gdy wybrał się na połów, morze wyrzuciło go na jakąś nieznaną wyspę. Rano, wędrując po wyspie, natrafił na lepiankę z ziemi i darniny. Przed lepianką stał jeden z trzech z starców, niebawem wyszli pozostali. Nakarmili go, posadzili przy ognisku a potem pomogli naprawić łódkę.

— Jak oni wyglądają? — zapytał biskup.

— Jeden maleńki, zgarbiony, całkiem zgrzybiały, ubrany w starą sutannę, ma chyba przeszło sto lat, zielono siwy, a cały uśmiechnięty i promienny jak anioł niebieski. Drugi wyższy, też stary, w podartym kaftanie, ma szeroką, gdzieniegdzie pożółkłą brodę — a silny jest: jak wziął moją łódkę, to przewrócił ją niby ceber. I też radosny. A trzeci wysoki: broda długa aż po kolana i biała, a pochmurne brwi nawisły nad oczami. I całkiem nagi, tylko rogóżką się przepasał.

— Cóż ci mówili? — zapytał biskup.

— Najczęściej milczeli. Nawet pomagali mi w milczeniu. I ze sobą nie rozmawiają. Jeden popatrzy, już reszta wie, o co chodzi. Zapytałem wysokiego, jak dawno tu są. Zmarszczył się, krzyknął coś

jak mi się zdawało, z gniewem, ale ten maleńki zgrzybiały starzec wziął go zaraz za rękę i ucichł. Starzec powiedział tylko „zmiłuj się nad nami" i uśmiechnął się. Podczas gdy chłop opowiadał swoje przejścia, okręt zbliżył się do owej wysepki.

— Teraz to dobrze widać — rzekł kupiec, niech Wasza Wielebność spojrzy tam — i wskazał ręką w kierunku wysepki.

Biskup spojrzał. I rzeczywiście ujrzał czarny pas ziemi — wysepkę. Biskup przyglądał się przez pewien czas, póniej skierował się do steru.

— Jaka to — powiada do sternika — wysepka?

— A jakaś bez nazwy. Takich wysepek wiele.

— Czy to prawda, mówią, że tu są boży starcy?

— Mówią, Wasza Wielebność, ale czy to prawda, nie wiem. Podobno rybacy ich widzieli. Ale bywa też często, że gadają po próżnicy.

— Chciałbym wylądować na tej wysepce — oznajmił biskup, — da się to zrobić?

— Statkiem nie można dobić do brzegu — rzekł sternik — można przypłynąć łódką, ale trzeba zapytać kapitana.

Zawołano kapitana.

— Chciałbym — powiada biskup — zobaczyć tych starców. Można to zrobić? Kapitan zaczął odradzać. — Zrobić to można, ale szkoda czasu. Zresztą ośmielę się podać do wiadomości Waszej Wielebności, że nie warto zobaczyć. Słyszałem od ludzi, że to są głupi starcy, nic nie rozumieją, a milczą jak ryby.

— Chcę zwiedzić wysepkę — rzekł biskup — zapłacę koszta, więc proszę mię przewieźć.

Cóż robić? Kapitan zgodził się, zmieniono żagle, sternik zwrócił okręt i popłynięto do wysepki. Biskupowi postawiono na przodzie krzesełko. Usiadł i patrzy. Wszyscy ludzie zebrali się za nim i patrzą także na wysepkę. Kto ma oczy lepsze, ten widzi już głazy nadbrzeżne i lepiankę. A ktoś ujrzał już trzech starców. Kapitan wyszedł z lunetą na mostek i spojrzał. Potem podał lunetę biskupowi, mówiąc: — „rzeczywiście, na brzegu, na prawo od tego dużego głazu, stoją trzej ludzie". Spojrzał i biskup, skierował lunetę, gdzie należy — rzeczywiście, stoją wszyscy trzej: jeden wysoki, drugi niższy, a trzeci zgoła maleńki. Stoją na brzegu, wziąwszy się za ręce. Kapitan zwrócił się do biskupa:

— Tutaj, Wasza Wielebność, trzeba zatrzymać statek. Stąd przewieziemy Waszą Wielebność łódką i zaczekamy.

Natychmiast zatrzymano okręt — zwinięto żagle i zarzucono kotwicę. Na wodę spuszczono łódkę, wioślarze zeskoczyli z pokładu a biskup zeszedł po schodach. Siadł do łódki, wioślarze podnieśli wiosła, i popłynięto do wysepki. Podpłynięto bliziutko do brzegu. Widzi biskup: stoją trzej starcy, jeden wysoki, nagi, przepasany

tylko rogóżką, drugi niższy, w podartym kaftanie, i trzeci maleńki, zgrzybiały — w starej sutannie; stoją wszyscy trzej i trzymają się za ręce. Łódka przybiła do brzegu, przyciągnięto ją bosakiem i biskup wyszedł. Starcy ukłonili się, biskup pobłogosławił ich i starcy ukłonili mu się nisko po raz drugi. A biskup odezwał się: — słyszałem, że pędzicie tu świętobliwy żywot, i modlicie się za ludzi. Jestem niegodnym sługą Bożym, mam powołanie uczyć wiernych, więc przychodzę tu do was, abym i was jeśli potrafię nauczył. Milczą starcy, uśmiechają się i patrzą na siebie.

— Powiedzcie mi— rzekł biskup — jak żyjecie dla Boga, jak odmawiacie modlitwę.

Westchnął drugi starzec i spojrzał na małego, zgrzybiałego staruszka. Zmarszczył się ten wysoki i spojrzał na zgrzybiałego. Więc uśmiechnął się trzeci i odpowiada — nie umiemy żyć dla Boga tylko dla siebie.

— Jakże modlicie się do Boga?

Zgrzybiały starzec odpowiedział: „modlimy się tymi słowami — „w niebie Was trzech, tutaj nas trzech, odpuść nam grzech". Uśmiechnął się pobłażliwie biskup i powiada: „to niby o Trójcy mówicie„ ale nie tak trzeba. Widzę, że kochacie Boga, ale nie wiecie jak modlić się do niego. Więc słuchajcie, nauczę was modlitwy. Będę uczył tak, jak napisane jest w Piśmie św. i jak sam Pan kazał nam się modlić do niego". Zaczął biskup nauczać, jak to Pan Bóg objawił się ludziom: wytłumaczył znaczenie Trójcy św. i powiada: Syn Boży przyszedł na ziemię, aby ratować ludzi i nauczył wszystkich takiej modlitwy. Słuchajcie i powtarzajcie za mną. Biskup powiedział „Ojcze nasz". Pierwszy starzec powtórzył „Ojcze nasz", drugi też powtórzył „Ojcze nasz" i trzeci powtórzył; — „Ojcze nasz, który jesteś w niebie". — Powtórzyli starcy. Ale drugi starzec zaplątał się w słowach, wysoki źle wymówił — usta zarosły mu wąsami. Niewyraźnie też powiedział najniższy, bezzębny. Biskup powtórzył jeszcze raz. Za nim odmawiali modlitwę starcy. Biskup usiadł na kamieniu, a starcy stali przed nim i patrząc mu na usta mówili modlitwę. Cały dzień aż do wieczora uczył ich biskup modlitwy. Nie raz jedno słowo wymawiał, dziesięć, dwadzieścia, i nawet sto razy, starcy zaś powtarzali za nim, plątali się w słowach, biskup poprawiał i nakazywał, aby mówili od początku. Siedział na wysepce dopóki nie nauczyli się modlitwy. Naprzód powtarzali za biskupem a później mówili sami. Pierwszy nauczył się starzec w kaftanie i powiedział Ojcze nasz od początku do końca. A biskup kazał powtórzyć mu modlitwę kilka razy. Potem mówili pozostali dwaj. Już zaczynał się wieczór i księżyc zeszedł nad morzem, kiedy biskup wstał z kamienia. Pożegnał starców, którzy padli mu do nóg, pocałował każdego, nakazał pamiętać i odmawiać modlitwę, siadł do łódki i popłynął do statku. A gdy płynął, słyszał, jak wszyscy trzej starcy odmawiali głośno

Ojcze nasz. Gdy łódka przypłynęła do okrętu, nie było już słychać starców, ale widać ich było przy świetle księżyca: wszyscy trzej stali na brzegu — najmniejszy pośrodku, wysoki z prawej strony, a niższy z lewej. Przypłynął biskup do statku, wszedł na pokład i statek natychmiast ruszył. Podniesiono kotwicę, rozwinięto żagle, w które zadął wiatr. Biskup udał się na dziób statku, usiadł i spoglądał na wyspę. Z początku widział starców, potem zniknęli mu z oczu, tylko wysepka majaczyła, ale i ona zniknęła i niebawem jedno tylko morze iskrzyło się w księżycowej poświacie. Pątnicy położyli się do snu i na pokładzie zapanowała cisza. Ale biskup nie spał — siedział samotny na pokładzie, spoglądał na morze w tym kierunku, gdzie była wysepka i myślał o dobrych starcach. Myślał o tym, jak muszą się radować, że wreszcie nauczyli się modlitwy Bożej. I dziękował Bogu, że pozwolił mu dopomóc starcom i nauczyć ich Słowa Bożego. Siedzi tak biskup, myśli, spogląda na morze w tamtą stronę a w oczy mu blask się sypie — to tu, to tam iskrzy się na fali światłość. Nagle widzi, że coś błysnęło i zabielało w promieniu księżyca: Nie wie biskup czy to ptak — mewa, czy żagiel na łodzi. Przyjrzał się. Chyba żaglowiec płynie za statkiem. Ale jakoś za prędko idzie. Przed chwilą jeszcze był daleko, a teraz zupełnie bliziutko. I łódź do łodzi nie podobna, to nie żagle przecież. A jednak coś dogania statek. I nie może biskup poznać co to jest- łódka, ptak, czy ryba. Do człowieka nie podobne zresztą skąd człowiek na morzu. Biskup wstał, podszedł do sternika i pyta:

— Co to bracie? Co to?

Ale nagle poznał: biegną po falach trzej starcy a w świetle księżyca błyszczą i bielą się ich brody. Biegną i zbliżają się do statku. Sternik się obejrzał, przeraził, rzucił ster i zawołał głośno:

— Boże! Starcy biegną za nami po morzu jak po ziemi!

Pobudzili się ludzie, pozrywali się, rzucili się do poręczy. Patrzą: biegną starcy, trzymając się za ręce, dają znaki, aby zatrzymać statek. Wszyscy trzej biegną po falach jak po ziemi, nawet nogami nie poruszają. Majtkowie nie zdążyli zatrzymać okrętu, gdy trzej starcy byli tuż. Podeszli do burty, podnieśli głowy i zawołali jednogłośnie:

— Zapomnieliśmy biskupie twojej nauki! Póki mówiliśmy modlitwę, — pamiętaliśmy. Ale jak przestaliśmy na chwilę odmawiać pacierz — zapomnieliśmy zaraz jakiegoś słowa i wszystko nam uleciało z pamięci. Nic nie pamiętamy: naucz nas.

Biskup przeżegnał się, pochylił się nisko i rzekł: „I wasza modlitwa dochodzi do Boga. Nie ja powinienem był uczyć was, starcy Boży. Módlcie się za nas grzesznych". I pochylił się starcom do stóp. A starcy odwrócili się i poszli z powrotem przez morze. I przez całą noc gorzała łuna promienista nad tym szlakiem wodnym, którym wrócili na wysepkę.

Jan Hus

(1369—1415 r.)

Każdego roku w lipcu święci Czechosłowacja pamięć wielkiego reformatora Jana Husa. Święto ku czci tego męża Bożego posiada charakter narodowy. Hus jest uważany przede wszystkim za wielkiego bohatera narodowego Czech. W roku bieżącym wolny naród czeski obchodził uroczyście pamiątkę męczeńskiego zgonu Janą Husa. Jak dawniej, zapalono symboliczne stosy, przypominające stos, na którym został spalony w r. 1415.

Jan Hus pochodził z ubogiej rodziny osiadłej w południowych Czechach. Jako ksiądz okazał się płomiennym kaznodzieją i wybitnym teologiem. Był profesorem uniwersytetu w Pradze. Od r. 1402 pozostawał pod silnym wpływem angielskiego reformatora Wicliffa, którego naukę przynieśli do Czech studenci uniwersytetu oksfordzkiego, pochodzenia czeskiego. Najważniejszą zasadą swej reformatorskiej nauki i dążeń uczynił Hus Pismo św. Orzeczenia papieży i soborów, niezgodne z nauką Pisma św. uważał za ludzkie i błędne. Odrzucał rzymską naukę o przeistoczeniu, nadając Wieczerzy Pańskiej znaczenie przede wszystkim symboliczne. Sprzeciwiał się czci świętych i relikwii, oraz spowiedzi usznej, wprowadził udzielanie kielicha ludziom świeckim, podczas komunii św. Zajęcie tego chrześcijańskiego, opartego na Piśmie św. stanowiska, spowodowało postawienie go w rząd „heretyków". Posypały się klątwy. W Pradze doszło do formalnej rewolucji, która ściągnęła niebawem na całe miasto klątwę kościelną. Hus nie zaprzestał jednak działalności kaznodziejskiej. Na koniec wydział teologii przy uniwersytecie praskim, w którym nauczał Hus, wypowiedział się przeciw niemu. Na życzenie króla Wacława Hus opuścił Pragę i oddał się pod ochronę szlachty czeskiej. Obóz przychylnej mu szlachty przekształcił się w krótkim czasie w miasto o nazwie TABOR. Jedno ze stronnictw husyckich przybrało stąd nazwę taborytów. W toku tych wydarzeń młodszy brat Wacława, król Zygmunt, któremu zależało na unormowaniu stosunków kościelnych w Czechach, zawezwał Husa, pod gwarancją bezpieczeństwa, do stawienia się przed soborem w Konstancji. Jan Hus przybył do Konstancji jesienią 1414 r. Tu został natychmiast uwięziony jako „kacerz", pomimo, że posiadał list żelazny króla Zygmunta, gwarantujący mu swobodę. Król był początkowo oburzony takim potraktowaniem Husa i zlekceważeniem jego listu, ale później poświęcił reformatora, aby tylko zjednać sobie uczestników soboru. Jan Hus został skazany na śmierć przez spalenie. Wyrok został wykonany dnia 6 lipca 1415 r.

Płomień zapalony przez Husa jeszcze w Pradze, a podsycony jego męczeńską śmiercią nie zgasł. Meczennik Bożej sprawy urósł do znaczenia bohatera narodowego. Na terenie Czech wybuchła wojna domowa, zwana husycką. Ale mocniejszym niż płomień wojny był płomień religijnego natchnienia, zapalony przez Jana Husa. Działalność Husa stworzyła bogate podłoże religijnego życia, z którego do dziś czerpią trwałe wartości Czeski katolicki Kościół narodowy i protestancki Kościół Braci czeskich, który w dawnych czasach na terenie naszej

Wielkopolski rozwijał się bardzo pomyślnie, prowadząc ożywioną wymianę myśli z protestantyzmem polskim.

Była w dziejach Polski chwila, kiedy myśl polityczna w 15 wieku skłaniała się na stronę czeskich Husytów. Zwyciężyła jednak rzymska racja stanu. Hus mógł się stać początkiem nowej epoki w współżyciu Polaków z Czechami. Stało się inaczej. Pomimo to Jan Hus pozostanie na zawsze bohaterem nie tylko Czech, ale całej zachodniej Słowiańszczyzny, jako symbol sił, zmierzających do uniezależnienia się od przewagi obcej i wrogiej nam potęgi papieskiego Rzymu.

ANDRZEJ NIEMOJEWSKI

Napomnienie

(Dokończenie)

Padł na kolana, ukrył czoło w rękach.

Wiatr obiegał leśną puszczę i począł już dołem poruszać krzewy. Równocześnie niebo zaćmiło się w górze, a Joel nie widział nawet pnia, przed którym klęczał.

Uczyniło mu się straszno i mniemał, że przyszła na niego ostatnia godzina. Tedy począł się znowu modlić, ale już w te słowa:

„Panie, robak jestem wobec Twojej potęgi...

„Robak, którego nietylko stopa twoja zdeptać może, ale połknąć każdy zwierz, przywalić każda kłoda i ogarnąć każdy strumień, a każdy zbój pchnąć nożem i życia pozbawić...

„Jestem grzesznik, pyszałek, łgarz i podaję się za to czym nie jestem...

„Palę ofiary, które lud przynosi...

„Chwalę się przed Tobą w modlitwie a nie korzę...

„Celnik uczciwiej się modli...

„Ale jeśliś Bóg, jeśliś Ten, który jest, wejrzyj na mnie, a ratuj...

„Naprawię się, Panie... W świątyni czynić będę pokutę... Jawnie, Panie... Posypię głowę popiołem i czynić będę na głos wyznanie grzechów...

„Panie, żali mogę uczynić coś więcej?"...

Wicher rósł, wzmagał się, miotał lasem. Potężne konary kołysały się, sprawiając niezmierny szum.

Strach Joela rósł ustawicznie i wreszcie doszedł do granic ostatecznych. Po nim wszczęła się rozpacz. W tej chwili ptak jakiś zachichotał w górze, a w oddali ozwał się przeciągły ryk zwierza.

Joel począł z rozpaczy bluźnić:

„Nie wejrzałeś, Panie, na mnie i nie wysłuchałeś modlitwy mojej...

„Tyś Bóg?... Tyś Pan?

„Sługi swe opuszczasz w posępnym lesie i śród dzikiego zwierza...

„Ale prawda! Czterdzieści lat wodziłeś po puszczy Mojżesza z całym ludem! Czterdzieści lat!

„Jakiś Ty Bóg?... Nie, tyś nie jest ten, który jest"...

I pluł na ziemię, na której klęczał, pluł na pień drzewa, który przed nim był, pluł na powietrze, którym oddychał, pluł na niebo, za którym krył się Adojnoj... Nie Adojnoj, ale chyba Suten!...

W tej chwili poczuł dłoń na swym ramieniu. Skoczył z ziemi, aby się bronić. Ale w mroku zarysował się łeb osła. Poganiacz ujmował cugle zwierzęcia. Joel wsiadł i ruszył.

Nagle wicher ucichł i zza chmur wypłynął księżyc. Jasność modrawa rozlała się po lesie. Uczyniło się niezmiernie widno.

Joel też zaraz się uspokoił, ale milczał. Zwierzę postępowało dziwnie raźno. Przedarli się przez pasmo krzaków. Joel posłyszał szum potoku. Niebawem krzewy się rozstąpiły, ukazała się rozpadlina, na której dnie huczała woda. Przez parów wiodła belka, oświecona blaskiem księżyca. Zwierzę wstąpiło na nią krokiem pewnym i po chwili przeszło na drugą stronę. Las rzedniał; wydostali się na szeroką drogę. Wnet też ukazały się mury Jerychonu.

Joel przez całą drogę nie rzekł ani słowa. W mieście wszyscy spali jeszcze. Przed domem bogacza było pusto. Żaden ze sług nie wyszedł na jego spotkanie.

Więc zsunął się czym prędzej z grzbietu zwierzęcia, wstąpił na schody; drzwi nie były zamknięte. Minął przedsionek i wszedł do sypialni. Szybko zrzucił szaty i legł na posłaniu.

Odetchnął. Skończyły się wszystkie utrapienia. Wnet też z powodu ogromnego znużenia, przymknął powieki i usnął. Spał zaś tak twardo, że żadne marzenie senne nie poruszyło jego myśli.

Zbudził się dość późno, siadł na łożu i począł rozważać.

Przypomniał sobie, gdzie był i gdzie jest. Wędrował nad Jordanem, błąkał się przez las i doznawał wielkiego strachu. A to wszystko przez tego niecnego sługę. Trzykrotnie zapowiedział mu, iż go każe obiczować i trzykrotnie mu darował. Ale nie odpuścił mu jeszcze owego długiego szukania przeprawy przez potok. A to było bardzo karygodne, gdyż Joel ze strachu bluźnił. Kto był winien tego bluźnierstwa jeżeli nie ów niecny poganacz? Zali go nie wywiódł na pokuszenie? Zali Joel kiedykolwiek w życiu bluźnił?! Nigdy ohydne bluźnierstwo nie splamiło jego ust. A teraz?!

Począł go gniew ogarniać.

Przypomniał sobie słowo po słowie, co niecny poganiacz odważył się mówić mu o owym nauczycielu i o opiece boskiej.

Toć on się wynosił nad niego, nad Joela, nad członka Synhedrionu.

Nie, to krnąbrność, to zuchwalstwo, to zbrodnia! Jaką karę obmyśleć za to? Klasnął na sługi i czekał. Ale nikt się nie pojawił. Klasnął wtedy raz drugi i trzeci, a następnie wyszedł do przedsionka.

Natknął się na jednego ze sług; ale ten wytrzeszczył oczy.

— Jak to, panie, jesteś? A my się trwożymy...

— Jestem głupcze, przespałem noc całą, tylko wy nic a nic o tym nie wiecie. Rozpędzę was, wygonię, każę osmagać...

— Wola twoja, panie — odparł wybladły sługa.

— Przywołaj mi natychmiast poganiacza — krzyknął Joel.

Sługa nie ruszył się z miejsca; wytrzeszczał tylko coraz bardziej oczy na pana.

— Ruszajże niecny! — wrzasnął Joel i podniósł rękę.

Sługa odwrócił się i wybiegł.

Mijała chwila za chwilą. Joel niecierpliwił się. Nareszcie ruszył z przedsionka na dziedziniec.

Tu ujrzał owego sługę radzącego z innymi.

— Gdzie poganiacz — zawołał Joel grzmiącym głosem.

Sługa wyjąkał, kłaniając się w pas:

— Panie... jego niema...

— Jakto, uciekł?

— Panie... i zwierzęcia niema... Tyś chyba piechotą wrócił...

Krew uderzyła do głowy Joela. Strasznymi oczyma piorunował struchlałe sługi, kiedy nagle ukazało się we wrotach zwierzę a za nim poganiacz.

Ten ujrzawszy pana, podbiegł, padł mu do nóg i począł wołać:

— Wybacz, panie, zbłądziłem w lesie, nie mogłem cię odnaleźć... Wołałem!... Obiegłem o świcie cały las i wreszcie sądziłem, żeś na piechotę wrócił...

Joel zwinął pięść nad jego głową i krzyknął:

— Łżesz! Tyś ze mną wrócił nocą!

Poganiacz zerwał się na równe nogi. Był niezmiernie blady, oczy miał wystraszone. Położył palec na ustach i mówił z głębokim przekonaniem:

— Nie, panie, to nie ja... to nie ja... To pewnie uczynek naszego nauczyciela...

Joel rozwarł szeroko oczy, spojrzał po sługach. Wszyscy założyli ręce i poczęli poruszać ustami. Poganiacz zaś mówił:

— Tyś, panie, pewnie wezwał w niedoli jego pomocy... Nie?... Możeś się modlił?... A możeś bluźnił?... On ci dał napomnienie!

Joel począł dłonią raz po raz dotykać czoła. Popatrzył na osła, który był bardzo znużony, miał boki zapadłe i wciąż poziewał. Popatrzył na poganiacza, na którym noc i trudy wyryły niestarte ślady. Popatrzył na wylękłą służbę, na dom, na drzewa.

Nagle zawrócił i udał się do sypialni.

Siadł na łożu, raz po raz dotykając czoła. Rozglądał się po ścianach, po powale i po posadzce.

— Co to jest — szepnął. — Co to jest? Co to jest?...

Rozmyślał w ten sposób przez cały dzień.

Naprózno słudzy wchodzili pytając, czy nie zażąda posiłku.

Joel przesiedział na łóżku w ten sposób cały dzień aż do zmierzchu.

Dopiero wieczorem kazał przywołać poganiacza, zamknął się z nim i coś ze sobą długo rozmawiali.

Słudzy czaili się pod drzwiami, ale nie mogli słów pochwycić.

A oni rozmawiali do północy, do brzasku, do wschodu słońca...

(Niniejsze opowiadanie zostało zaczerpnięte z dzieła „Tytuł skonfiskowany").

WITOLD BENEDYKTOWICZ

Armia Zbawienia

Armia Zbawienia, w języku angielskim Salvation Army, jest wspaniałą organizacją chrześcijańską, wyrosłą na podłożu metodyzmu. Założycielem Armii Zbawienia i jej pierwszym generałem jest kaznodzieja metodystyczny William Booth, ur. 1829, zmarły w 1912 r. Jego żona Katarzyna i córka Evangelina odegrały w dziejach tej organizacji niemałą rolę, dając świadectwo temu, że czasy dzisiejsze wymagają w służbie Chrystusa również udziału kobiet. Armia Zbawienia pracuje w licznych krajach Europy i Ameryki. Dzieło jej jest wielkie. Do Polski nie dotarły dotychczas jej oddziały. Zadanie, które ona spełnia za granicą, spada po części na wolnokościelne grupy polskich chrześcijan. Na podkreślenie zasługuje fakt, że tuż za sąsiedzką miedzą, oddzielającą kraj od Czechosłowacji, działa i rozwija się Armia Zbawienia. Pracowała ona również na terenie przedhitlerowskich Niemiec. Dopiero Adolf Hitler, po dojściu do władzy, zlikwidował jej działalność.

Armia Zbawienia dociera wszędzie tam, gdzie już nie sięga akcja zorganizowana rozmaitych Kościołów, instytucji i misji. Żołnierze Armii Zbawienia docierają w wielkich miastach nawet tam, gdzie nie ma odwagi dotrzeć policja. I nic dziwnego. Poświęcenie w spełnianiu najtrudniejszych zadań charakteryzowały Armię Zbawienia od samego początku jej powstania. Pierwsze kroki tych żołnierzy Chrystusa kierowały się do nędznych, zdemoralizowanych mieszkańców przedmieść Londynu, z radosną wieścią o zbawieniu. O metodach psychologicznych pracy Armii Zbawienia powiada pewien wybitny historyk kościoła, że były i są proste. Polegają one na wywoływaniu gwałtownych nawróceń, podczas publicznych zgromadzeń. Jest to sposób, względnie zjawisko, które obserwujemy w dziejach pierwotnego metodyzmu. Widzimy więc, że metodystyczny kaznodzieja, generał William Booth, sięgnął do starych zasad metodyzmu, z czasów Wesleya. Widzimy więc z tego, jak wielkie, niespożyte wartości wykazuje ruch metody-

styczny, skoro po z górą stu latach istnienia potrafił natchnąć zapałem dla sprawy chrystusowej, nowe zastępy ludzi.

Armia Zbawienia rozwija nie tylko szeroką działalność religijną, lecz także społeczno-filantropijną. Opieka nad bezrobotnymi, nad pokrzywdzonymi, opuszczonymi kobietami, ludźmi upadłymi moralnie, wchodzi w zakres zbawiennego działania Armii. Nie trudno jest opowiadać Ewangelię ludziom sytym, dobrze ubranym, w czasie podniosłych nabożeństw niedzielnych, w widnych czystych kościołach. O wiele trudniej pracuje się dla Chrystusa na przedmieściach, targowiskach, przed kinoteatrami, w restauracjach, a jednak Armia Zbawienia nie cofa się przed tymi trudnościami. O błogosławieństwie jakim Bóg otacza tę organizację świadczą owoce jej działalności. Niejedna dusza została uratowana z odmętów pijaństwa, rozpusty, moralnego upadku. Ludzie, którzy w pijaństwie nie znajdują umiaru a w stanie nietrzeźwym nie mają respektu dla żadnej władzy, dają posłuch żołnierzom Armii Zbawienia, wśród których znachodzą się liczne kobiety. Chrystus Pan powiedział, że większa jest radość w niebiesiech z jednego nawróconego grzesznika, aniżeli z dziewięćdziesięciu sprawiedliwych. Nie ulega wątpliwości, że działalności Armii Zbawienia towarzyszy najbardziej może na tę niebiańską radość.

Armia Zbawienia posiada organizację wojskową. Na czele organizacji stoi generał, któremu podlegają oficerowie, wraz z podoficerami i żołnierzami. W początkach istnienia Armii głównym organem prasowym było pismo „The War Cry" po polsku „Okrzyk wojenny". Dziś Armia Zbawienia dysponuje bogatą literaturą, wieloma zespołami orkiestrowymi itd. Mundury jej członków zwracają na siebie powszechną uwagę i ułatwiają pracę publiczną. Nie brak też przykrych incydentów i drwin, ale wiadomo, że ludzie umieją obdarzyć szyderstwem najwznioślejsze nawet porywy i czyny. Kiedy słyszymy o błogosławionej działalności Armii Zbawienia poza Polską, odczuwamy pragnienie, aby i w naszym kraju ta organizacja zaczęła pracować. Kto wie — może nasze pragnienia zostaną spełnione. Pamiętajmy jednak, że właściwie my wszyscy jesteśmy wielką rezerwą Chrystusowej armii zbawienia, i że skoro nie ma w naszym kraju zorganizowanych „wojsk frontowych" — na nas spada zadanie podboju i zdobywania dusz dla Mistrza.

Rozmaitości

Dnia 24. VII. br. przyjechały do Polski miss S. Browne i R. Lawrence, misjonarki z ramienia macierzystego Kościoła Metodystycznego w U. S. A. Nasi Bracia z za Oceanu pamiętają nie tylko o naszych materialnych potrzebach, lecz

także o tym wszystkim, co konieczne jest dla skutecznej pracy ewangelizacyjnej w naszym kraju. Wdzięcznością odpowiadamy im za wszystkie wysiłki, podejmowane dla sprawy głoszenia Ewangelii w Polsce. Jednocześnie chylimy z szacunkiem czoła przed tymi, którzy porzucają wygodne życie poza granicami naszego kraju i przybywają do nas, aby kierować naszymi pracami dla Kościoła. Powinniśmy uczynić wszystko, aby Polska stała się dla nich drugą ojczyzną. PP. Browne i Lawrence powiększyły zastęp amerykańskich misjonarzy pracujących w naszym Kościele na terenie Polski. Już w maju witaliśmy z radością pp. Gable i dr. Chambersa, którzy po trudach życia w obozach niemieckich dla internowanych i wędrówce po całej Europie a nawet za Oceanem przybyli do nas. Spomiędzy nowych współpracowniczek, miss Lawrence zna dobrze nasze okupacyjne niedole, albowiem sama przebywała w pierwszych latach wojny w Warszawie a następnie była internowana na Pawiaku, skąd została wywieziona do obozu w Alzacji. Upiorna, okupacyjna rzeczywistość jest już poza nami. Stoimy w obliczu nowego życia, szukając dróg nowych i skutecznych dla rozpowszechnienia Ewangelii w naszej Ojczyźnie. W naszych pracach i dążeniach, bracia i siostry z Ameryki będą nam pomagać doświadczeniem i wiedzą. Z ich pomocą, a przede wszystkim z błogosławieństwem Bożym napewno nie zmarnujemy doskonałej koniunktury dla ewangelizacji Polski.

W Piwnicznej nad Popradem, w pow. nowosądeckim, zorganizował Kościół Metodystyczny kolonię dla dzieci i młodzieży, w czasie od 22 lipca do 31 sierpnia. Pobyt w kolonii był bezpłatny, co stanowiło niemałą pomoc dla dzieci i rodziców z większych miast. Jako wychowawcy wzięli udział w kolonii br. Benedyktowicz, s. Kwiatkowska, s. Dolejówna, s. Szymańska Z., s. Baron, s. Jasikówna i s. Wójcik dla dzieci a dla młodzieży br. Raszkiewicz, mgr Kropidłowski. Pomieszczenie dla dzieci zorganizowano w domu pp. Dropiewskich, którzy wyjechali zagranicę. Doskonałe warunki klimatyczne, troska o należyte wyżywienie i opiekę nad „kolonistami", cykl godzin wychowawczych i atmosfera beztroskiego wypoczynku pozostawią zapewne niemały wpływ i wdzięczną pamięć wśród uczestników kolonii. Tegoroczna kolonia w Piwnicznej stanowi też znaczny dorobek w pracy Kościoła dla młodzieży i jest sumą nowego doświadczenia w tym kierunku.

U W A G A : Przedpłatę na prenumeratę „DROGI" przesyłać należy na konto administracji „Pielgrzyma Polskiego", Warszawa, Mokotowska 12, konto PKO. Nr I/1058 Warszawa. Na odwrocie blankietu czekowego zaznaczyć należy: „prenumerata (należność) DROGI za okres od . . . . do . . . "

Redakcja: Kraków, ul. Stradom 11/12 — Redaktor: Witold Benedyktowicz
Wydawca: Ruch Metodystyczny w Polsce

Drukarnia pod. Zarz. Państw. Nr 1 w Inowrocławiu Król. Jadwigi 7 — E 09454